Gazeta dla Kobiet

Miesięcznik ilustrowany

ROK XXX LISTOPAD 1938 NR 11



„Nic nasze czyny nie znaczą, wobec czynów matek śląskich, które swymi łzami i nauką od wczesnej młodości wpajały dzieciom mowę i modlitwę ojczystą.... gdyby nie czyny Matki-Polki, nasze przyjście tutaj byłoby przyjściem do obcych. Dziękuję Wam, polskie Matki, za to."

(Przemówienie gen. Bortnowskiego)

patrz str. 132

TREŚĆ:

BŁOGOSŁAWIENI CZYSTEGO SERCA, ALBOWIEM ONI BOGA OGLĄDAĆ BĘDĄ

Boga oglądać! Słyszymy te słowa ze wszystkich ambon świata, ilekroć kaznodzieja maluje nam obietnice szczęśliwości wiecznej — niebo, bo tam dopiero twarzą w twarz na wieki Boga oglądać będziemy.

Niebo należeć będzie do ludzi czystego serca — dodajmy: tylko i wyłącznie do ludzi czystego serca, gdyż Bóg powiedział wyraźnie „że nic nieczystego nie wejdzie do Królestwa niebieskiego".

Gdzie jednak są ci, o których by można powiedzieć, że są tak czyści, iż bramy niebieskie bez trudu ich przepuszczą? Czy są w ogóle na ziemi tacy ludzie?

Czyż Matka Najświętsza — przeczysta Dziewica bez zmazy, nie jest jedynym ze stworzeń, o którym bez wahania powiedzieć możemy „czystego serca". Ale my... grzeszni i upadający co chwilę ludzie... cóż z nami? Mimowoli z wielką słusznością przychodzi nam na myśl przeciwieństwo tego błogosławieństwa — grzech, który zawsze jest śmiertelnym — grzech nieczystości. Nie ma wątpliwości, bo sam Zbawiciel to nam powiedział, że nie wejdą do nieba skalani tym grzechem — grzeszący przeciw czystości myślą, mową i uczynkiem.

Znając dzisiejsze życie nie mamy chyba złudzeń. Te właśnie grzechy w zastraszający sposób się rozszerzają i coraz rzadziej są... należycie potępione!

Rozwiązłość i wiarołomstwo wchodzi do rodzin, rozrywa małżeństwa. Niestety tu się nawet zło nie zatrzymuje. Młodzież dorosła idzie w ślady starszych. I tu nie koniec. Zbrodnia zgorszenia schodzi do tego, co w obliczu Boga i Aniołów i ludzi święte — do dusz małych dzieci. — Potworne statystyki podają zastraszające cyfry małoletnich nieślubnych matek i dzieci zarażonych chorobami wenerycznymi.

Jeśli to w całej prawdzie zrozumiemy, widmo piekła otwiera się przed nami jako jedynego przybytku dla tych, dla których wejście do nieba zamknięte i którzy nigdy Boga oglądać nie mogą! Straszny obraz — jak przekleństwo nad nieszczęsnymi potomkami Kaina. To prawda życia współczesnego — a druga prawda, że tylko dusze o dziewiczej czystości Pana Swego oglądać mogą.

Jeszcze nie tu granica tego, co w błogosławieństwie Jezusowym nosi nazwę czystości, bo to nie tylko cnoty czystości dotyczy. Ten, którego znakiem wybrania zaszczyca to błogosławieństwo, musi być wolny od każdego grzechu — żadnym grzechem nie pokalany — więc czysty!

W obliczu tej wielkiej prawdy rozumiemy, że musi być czyściec — musi być miejsce, które by męką zmazało rejestr naszych win i nieprawości ziemskiego żywota. Czyściec — miejsce oczyszczenia dusz — wielki dar miłosierdzia i sprawiedliwości Bożej.

A ziemia, na której tyle naszych upadków — nie jestże i ona krainą miłosierdzia, zmiłowania Pańskiego? Czy za łaską Bożą nie możemy już tu stać się czyści — nawet wtedy, gdybyśmy mieli nieszczęście ciężko zgrzeszyć przeciwko czystości?

Rzecz dziwna. — Mimo, że znanym nam jest wymiar miłosierdzia Bożego, w takich chwilach ciężkiego upadku chętnie słuchamy głosu pokusy, która nam szepce, że już za późno — że już nic naprawić nie można.

Małego serca i małej wiary! — U Boga nie ma niepodobnych rzeczy! Prawda, że grzech taki zostawia skutki fizyczne nie do cofnięcia np. nieślubna matka nie wyprze się ani cofnąć może fakt swego macierzyństwa — ale jeżeli głęboka skrucha, wielki żal i wielka miłość — jedyna prawdziwa miłość do Boga, naprawi i zmieni jej życie, a co jeszcze ważniejsze — jej serce — czy to serce mimo, że kiedyś skalane zostało, nie odzyska swej czystości? Czy Magdalena przez skruchę i miłość nie stała się świętą, a więc czystego serca?

Niepojęty ten cud Boskiego miłosierdzia rzuca nam dopiero światło na istotną prawdę zawartą w tym błogosławieństwie i otwiera każdemu i każdej z nas na oścież wrota do zdobycia czystości serca, która niebo nam otworzy.

Takie są drogi Pańskie — drogi tak inne od dróg i myśli ludzi — którzy jedno umieją: łatwo — potępić innych, a samemu upaść na duchu, jeśli ich spotka nieszczęście grzechu. Jakżeż inaczej sądzi nas i prowadzi Bóg, który przez usta psalmisty każe nam mówić te pełne nadziei słowa, że choćby grzechy nasze były jako karmazyn, ponad śnieg bielszymi się staną przez łzy szczerej skruchy i pokuty. Na ciężką niedolę grzeszącej ludzkości, a może własnych upadających serc, albo w obliczu ciężkich win naszych bliźnich umiejmy spojrzeć bodaj raz w życiu oczyma nie swoimi, a oczami Je-

zusa, — Boga Miłości i miłosierdzia. Nad każdą biedną zbrukaną grzechem duszą, gdy ona ze skruchą korzy się u stóp Bożych, schyla się miłosierny Jezus i nietylko przebacza, ale tuli do Serca to marnotrawne dziecko, które zginęło, a przecież wróciło do Niego. Kto może sam przeżył kiedyś taką chwilę nawrócenia, lub komu otwarła się w wynurzeniu serdecznym dusza, która tak przez Jezusa pociągniętą została, wie, co znaczy taka przyjaźń Jezusowa. Przyjaźń ta nawiązuje się zazwyczaj w godzinie nawrócenia, ale, by mogła trwać i wzrastać, musi w duszy dziecięcia Bożego, jakim jest dusza ludzka oczyszczona z grzechów, znaleźć wierność — wierność łasce nawrócenia, która nie tylko pomaga do wytrwania w dobrym i do walki z grzechem, ale która duszę oczyszcza powoli z wszelkich grzechów, nie tylko nieczystych, lecz wszystkich, które Boga obrażają. Taka dusza, naprawdę wierna łasce, walczy z grzechem, a zwłaszcza ze źródłem wszelkich grzechów, skąd wszystkie pożądliwości biorą swój początek — z egoizmem, tą złą miłością własną, która nie Boga nade wszystko, ale siebie przede wszystkim miłuje; natenczas w takiej oczyszczonej „czystego serca“ duszy dzieje się wielki cud. Cud to życia wewnętrznego, ukryty przed oczyma ludzi, Bogu tylko widomy, cud, który sprawia, że dusza taka staje się dziecięco ufną i jak dziecko miłującą swego Boga. Wiek ludzkiego życia nie ma tu znaczenia, bo można mieć śniegiem siwizny przyprószone włosy, a mieć duszę małego Bożego dziecka, które Jezusowi zarzuca ręce na szyję, tuli się do Jego Serca i wie, że wszystko może i wszystko jej wolno — bo miłuje — a miłuje tak mocno i tak wiernie, że nie ma ofiary, jakiejby nie spełniła dla Umiłowanego swej duszy. Między taką duszą a Jezusem tak wzmacnia się przyjaźń, że choć przed wzrokiem ziemskim zakryte jeszcze widzenie Jezusa, okiem wiary ona Go już widzi — dotyka — obcuje z Nim jak z Ojcem najlepszym. Dusza czysta — bo czystą jest dusza dziecięco miłująca, ufna jak dziecko, wierna i ofiarna — już tu na ziemi, choć pod zasłoną wiary ogląda Boga — a gdy dla niej wybije godzina rozstania z ziemią, na wieki już twarzą w twarz Boga Swego oglądać będzie.

S. M.

Edward Słoński

JUŻ JĄ WIDZIELI IDĄCĄ...

Już Ją widzieli idącą
żołnierze nasi w okopach —
koronę miała na głowie
i krew zakrzepłą na stopach.

Już Ją widzieli idącą
w przedśmiertnych swoich tęsknotach
ci, którzy z ran umierali
w poleskich[1]) borach i błotach.

Widzieli Ją i mówili,
że tędy droga Jej bieży,
kędy rząd mogił żołnierskich
bez krzyżów gdzieś w polu leży.

Widzieli Ją i mówili,
że z łun wyrosła czerwonych,
z żołnierskich głodów i chłodów
i z zasług niezapłaconych.

Widzieli Ją i mówili...
wieść coraz dalej się szerzy...

— Czyżby naprawdę wyrosła
z serc tych zabitych żołnierzy? —

Wieść coraz dalej się szerzy,
idzie po wioskach i dworach —
już Ją widzieli idącą
Bartnicy i drwale w borach.

Grajkowie i pastuszkowie
już dla Niej, kiedy szła tędy,
w spalonych chatach śpiewali
swe nieuczone kolędy.

I tam, gdzie jeszcze nad ranem
śmiertelne świstały kule,
wieczorem stary pasiecznik
z melissą[2]) obchodził ule.

I tam, gdzie wczoraj śmierć była,
dziś pieśń pod niebo się wzbija;
— Bogarodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja![3]) —

[1]) Polesie — kraina polska, znajdująca się w obszarze błot poleskich czyli pińskich.

[2]) Melissa czyli rojownik — rodzaj roślin bardzo wonnych z ostrym smakiem.

[3]) Staropolska pieśń, powstała w drugiej połowie XIII w.

PRZEJDZIEM



Olza pod Cieszynem.

Kiedyś legiony polskie we Włoszech stęsknione za Ojczyzną śpiewały pieśń, która dotychczas jest naszym hymnem narodowym:

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę
Będziem Polakami...

Dziś wojsko polskie przeszło Olzę. Mała to rzeczka, która wypływa w Beskidach, a wpada do Odry pod Boguminem. Leży nad nią Jabłonków, Trzyniec, Cieszyn, Frysztat, Bogumin i wiele innych miejscowości, o których dziś głośno. Leżą nad nią dwa powiaty z ludnością polską, które po wojnie przez dwadzieścia lat były w niewoli czeskiej. I oto armia nasza przynosi wolność tym wiernym dzieciom Ojczyzny. Będą Polakami...

I my przejdźmy Olzę, aby poznać tamtejszych rodaków.

Wiemy już z gazet, że do Polski wraca Bogumin z wielkim węzłowym dworcem i licznymi fabrykami. Karwina z bogatymi pokładami najlepszego węgla, Trzyniec z hutami żelaza, Jabłonków, stolica Beskidu śląskiego. Poza tym Cieszyn, miasto przepołowione jak jabłko, znowu się zrasta, odzyskawszy część opanowaną przez Czechów.

To wszystko wraca do Polski. Tak: wraca. Nie tylko dlatego, że to kraj polski. Ale także dlatego, że te dwa powiaty, cieszyński i frysztacki, już należały do Polski zaraz po przewrocie w r. 1918. A należały wcześniej niż Warszawa. W Warszawie bowiem przewrót ostateczny dokonał się dopiero 11 listopada. Tymczasem na Śląsku już 31 października cieszyńska Rada Narodowa ogłosiła przynależność Śląska do Polski.

Stało się to samorzutnie. Nikt w tym Ślązakom nie pomagał, ale nikt także nie przeczył ich prawom. 5 listopada 1918 zawarła Rada Narodowa układ z Narodnim Wyborem w Morawskiej Ostrawie i w tym układzie sami Czesi dobrowolnie przyznali Polsce cały powiat cieszyński i prawie cały powiat frysztacki. Dopiero kilka miesięcy później. kiedy Polska była zajęta walkami o Lwów, Czesi znienacka napadli na Śląsk i zajęli te dwa powiaty, które dziś, po 20 latach, wracają na Ojczyzny łono.

A więc wracają. Wraca ziemia polska, wraca blisko 200.000 najwierniejszych synów Polski.

Wracają dzięki wielkim przemianom jakie się w świecie dzieją, ale wracają także dzięki temu, że od dziesiątek lat pełnili wierną służbę dla polskości.

Śląsk cieszyński od 14 wieku pozostawał pod panowaniem czeskim, a potem austriackim. W tych czasach język niemiecki panoszył się tam w całym życiu publicznym, w urzędach, szkołach, a także w kościołach. Czescy i niemieccy urzędnicy i koloniści byli uprzywilejowaną warstwą. Polskość musiała się ukrywać w chatach wiejskich i domkach robotniczych.

Odrodzenie polskości rozpoczęło się w r. 1848, zwanym w Austrii wiosną ludów. Powstała wtedy gazeta polska „Gwiazdka Cieszyńska"; ruch narodowy polski zaczął zdobywać prawa, szkoły, posłów do sejmu śląskiego i parlamentu wiedeńskiego. I oto doszło do tego, że przed wojną Śląsk Cieszyński był narodowo zupełnie uświadomiony. A najwięcej polskie były Karwina, Trzyniec... I właśnie tę część, najwięcej czującą po polsku odcinają Czesi w r. 1919 od pnia wskrzeszonej Ojczyzny. Jakże to bolesne były chwile!

Dziś krzywda została naprawiona. Przez 20 lat Czesi wysilali się, aby Zaolzie sczeszczyć. Polaków wydalano z pracy, przesiedlano, usuwano z urzędów, zamykano polskie szkoły, budowano wspaniałe gmachy szkolne dla Czechów, chociaż ich było w gminie zaledwie kilku przywędrowanych, probostwa obsadzano czeskimi księżmi, — stan polski kurczył się coraz więcej, gorzej było za brata-Czecha niż przedtem za Niemca-Austriaka.

Dziś karta się odwróciła. Krzywdy austriackie i czeskie wkrótce zostaną naprawione.

W tym wielkim dziele kobieta polska odegrała pierwszorzędną rolę. Kiedy męża i dzieci czeszczyła szkoła, urzędy i przełożeni, — wtedy to kobieta polska w swoim królestwie rodzinnym uczyła pacierza polskiego, zachowywała tradycje polskie, przechowywała znicz polski i nie pozwoliła mu zgasnąć. Słusznie zaznaczył to generał Bortnowski podczas przejmowania Zaolzia:

„Szczęśliwy jestem, że na czele żołnierzy polskich reprezentuję tu Polskę. Ale nic nasze czyny nie znaczą wobec waszych czynów, wobec czynów matek śląskich, które swymi łzami i nauką od wczesnej młodości wpajały dzieciom mowę i modlitwę ojczystą. Bez tej siły, którą tworzy rodzina — matka i ojciec — nasze czyny byłyby niczym. Gdyby nie czyny Matki-Polki, nasze przyjście tutaj byłoby przyjściem do obcych. Dziękuję Wam, polskie Matki, za to. Niech żyje ta wielka siła, która was prowadziła i która zwyciężyła".

Czyż może być piękniejsze uznanie od tych wyrazów żołnierskich? Uznanie słuszne! Praca kobiet zaolzańskich była rzeczywiście wielka i podziwu godna. Nie tylko w rodzinie, ale także w licznych Związkach Niewiast Katolickich, które się tam rozwijały pomyślnie od blisko 30 lat. O tym, jednak napiszemy osobno.



Młody Ślązak kąpie się jeszcze w czeskiej Olzie. Teraz będzie już pływał w polskiej rzece.

OLZĘ...

Całym sercem witamy w ramach wspólnej ojczyzny nasze dzielne siostry z Zaolzia, ciesząc się, że obecnie już swobodnie ręka w rękę będziemy mogły pracować nad budową Polski Chrystusowej.

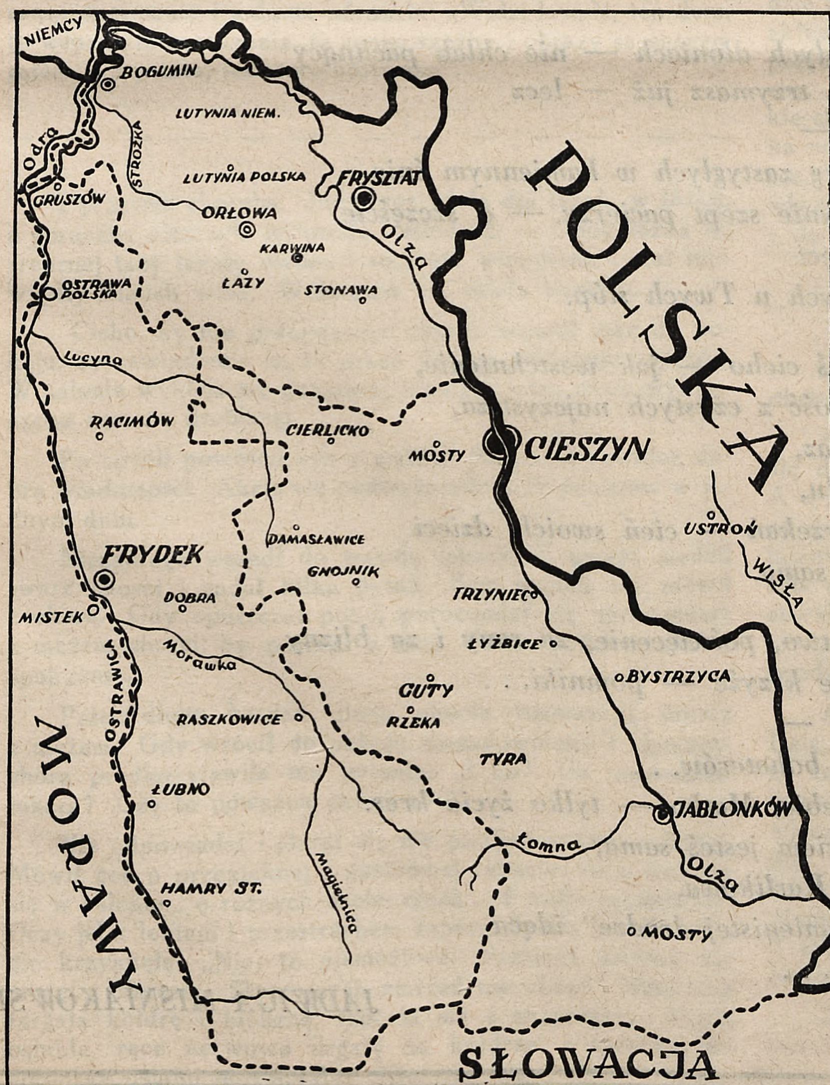
B.



Widok z Jaworowego na Trzyniec odsłania piękno krajobrazu Śląska za Olzą.

ZAHUCZAŁY GÓRY





2. W zielonym gaiczku ptaszkowie śpiewają,
Już mego miłego na wojnę wołają.

3. Wołają, wołają, już noga w strzemieniu,
Pamiętaj, ma miła, o moim imieniu.

4. Wołają, wołają, konik osiodłany,
Komuż mię zostawisz, Jasieńku kochany?

5. Zostawię ja ciebie temu, co jest w niebię,
A za roczek, za dwa powrócę do ciebie.

6. Trzy lata minęły, jak się wojna toczy,
Jużem wypłakała moje czarne oczy.

7. Wyjdę na góreczkę, tu ułani jadą,
Ot mego miłego koniczka prowadzą.

8. Prowadzą, prowadzą, koniczek przykryty,
Podobno mój miły na wojnie zabity.

9. Nie płacz ty już tyle, nie żałuj ty tego,
Jedzie nas tysiące, wybierz se jednego.

10. Choćbym wybierała i nawybierała,
Nie było, nie będzie, jakiegom ja miała.

11. Choćby was tu było, jak na sośnie szyszek,
Nie było, nie będzie, jak mój nieboszczyczek.

12. Choćby was tu było, jak na morzu piany,
Nie było, nie będzie, jak był mój kochany.

(Z okolicy Cieszyna (z Sibicy), śpiewała Maria Górniakowa w roku 1898, spisała tekst i melodię A. Hławicka.)

JEDNEJ Z NAJLEPSZYCH MATEK

MATCE PISARZA



Matka pisarza Gustawa Morcinka, żona górnika z Karwiny. Po śmierci męża, który został zasypany w kopalni, wychowała własnym wysiłkiem dzieci. — Każdy, kto z nią obcował, ulegał jej czarowi. Wyrazem uroku jaki roztaczała, jest piękny wiersz Jadwigi Miśniakowskiej.

Po kamienistej drodze, raniącej Twoje stopy
dźwigałaś brzemię życia
bez łez. . .

Twe ręce utrudzone zmieniały krwawy mozół
w pachnący bochen chleba,
w kwitnące maki — lica
Twych dzieci. . .

Za Tobą szła gromadka,
by sycić głód z Twych rąk najlepszych i z Twego
Serca. . .

Oto Matka —
przez „Wyrąbany chodnik" idąca
bez łez. . ,

Aż przyszedł kres.
— Na błękit oczu Twych pobladłych od starości
padł Anioł Śmierci. . .

W stężałych dłoniach — nie chleb pachnący
słońcem trzymasz już — lecz
Krzyż —
I z warg zastygłych w kamiennym śnie
nie spłynie szept pacierzy — o szczęście
dla dzieci
płaczących u Twych stóp.

Odeszłaś cicho — jak westchnienie,
jak miłość z czystych najczystsza,
bez skaz,
bez żalu,
bez narzekań — cień swoich dzieci
Miłość sama.

Za męstwo, poświęcenie, za rany i za blizny
Są złote krzyże — pomniki. . .
Matko! —
— dla bohaterów. . .
Dla Ciebie, Matko — tylko życia kres.
Pomnikiem jesteś sama,
Matko Karlikowa,
„Po kamienistej drodze" idąca
bez łez. . .

JADWIGA MIŚNIAKOWSKA

DWIE KOBIETY

Żyła szczęśliwie i beztrosko. Tak przynajmniej twierdzili wszyscy znajomi i krewni.

Mąż jej zarabiał bardzo wiele a poza tym odziedziczyła po rodzicach i krewnych wspaniały majątek. Mieli tylko jednego syna. Żyjąc w świetnych warunkach materialnych, mogła korzystać z wygody, bezczynnie spędzać dnie, tygodnie i miesiące. Okres zimowy był dla niej jednym wielkim urozmaceniem. Zapraszała do siebie wesołe grono, składała wizyty, bawiła się, tańczyła a w międzyczasie chodziła do teatru i kina. W okresie letnim wyjeżdżała nad morze, w góry, nad jeziora a wszędzie cieszyła się powodzeniem i przyjmowała z zadowoleniem komplementy. Potem wracała do domu, by po tylu doznanych wrażeniach — odpocząć.

Zwłaszcza w niedzielę wypoczywała i spała. Dzień ten, twierdziła, jest jakby stworzony do tego. W pierwszych miesiącach życia małżeńskiego chodziła jeszcze od czasu do czasu do kościoła, o godz. 12-tej. Ale później zaniedbywała się, zresztą i mąż jej twierdził, że chodzenie do kościoła niepotrzebnie — męczy!

Swego czasu wstąpił do ich domu miejscowy proboszcz. Przyjęli go życzliwie w najpiękniejszym pokoju. Proboszcz przemówił im do sumienia i rozsądku, ale ona twierdziła swoje: „Ależ księże proboszczu, nam z tym zupełnie dobrze! Nie zaczepiamy nikogo... nie czynimy żadnego zła..."

Na próżno proboszcz podkreślał potrzebę czynnej współpracy z Kościołem i potrzebę wyrobienia własnej duszy. W pewnej chwili popatrzyła na męża, uchwyciła jego znaczące spojrzenie i z dumą odrzekła: „Widzi ksiądz, ten dom, te wspaniałe urządzenia, te cenne rzeźby i obrazy są naszym rajem, a my tutaj jesteśmy bóstwami".

— — — — — — — — — — — — —

I przyszła choroba. Już przez wiele dni leżała w łóżku, a gorączka niszczyła jej urodę i młodość. — Obok łóżka na srebrnej tacy leżały owoce i soczyste winogrona i stał niewypity kielich wina. Widocznie nie miała apetytu...

Cicho, by nie przestraszyć chorej, wszedł mąż do pokoju, by zawiadomić ją, że prace dobrze postępują naprzód. W salonie wykleja się gustowną tapetę a jutro może wykończone zostaną drobiazgi.

Po chwili powrócił syn z giełdy. Przyniósł również dobre wiadomości. Akcje się podwyższyły o 15 punktów w jednym dniu.

Niezadługo wszedł do pokoju lekarz. Z uwagą śledził twarz chorej i zadał kilka pytań. Sam jednak nie mówił z chorą. Gdy opuszczał pokój porozumiał się spojrzeniem z mężem chorej, by poszedł z nim. Chora podchwyciła to spojrzenie.

Przez długą, bardzo długą chwilę rozmawiał lekarz z mężem. Gdy wrócił do pokoju niezadowolony i złamany, chora prędko stawiła mu pytanie: „I co? Co powiedział lekarz? Czy to poważna choroba?!"

Nie odpowiadał i starał się nie patrzeć w twarz chorej. Mówił coś o przepięknej i gustownej tapecie, jaką wykleja się w salonie... o różnych drobiazgach... I nagle zrozumiała. Oczy jej z lękiem i przestrachem zapatrzyły się w dal, i nagle krzyknęła: „Nie! to niemożliwe! Przecież umrzeć nie mogę!... Precz!... Słyszysz, ja umrzeć nie chcę!" Nerwowo targała kołdrę i bieliznę, rzucała się i krzyczała... Nagle osłabła, ręce nerwowo drgały na kołdrze, i spieczonymi gorączką ustami powtarzała: „Nie, nie, nie...!"

Mąż i syn z przerażeniem patrzyli na niepokój chorej. Śledzili z natężeniem jej słabe ruchy, ciche oddechy, gasnące słowa... usta jej rozchyliły się, mówiła jakieś słowa, i... zamilkła...

Mąż zapatrzony w bladnącą twarz umierającej wyrzekł jakieś przekleństwo a syn w swej bezsilności zapalił cygaro.

— — — — — — — — — —

Irena było jej na imię. W małżeństwo wniosła pogodę, radość, pracowitość i zdrowe zasady oparte na żywej wierze w Wszechmoc Bożą. I mąż jej był zdrowym, ale skromny był jego miesięczny zarobek. W dzień ślubu otrzymała Irena od swej chrzestnej prosty drewniany stół jako prezent ślubny. Z początku tylko razem z mężem siedzieli przy tym stole.

Z czasem jednak obdarzył ich Bóg dziećmi. Najstarszy wtedy zasiadywał wraz z rodzicami przy stole i głośno odmawiał modlitwy przed i po jedzeniu, młodszy siedząc w swym krzesełku, uderzaniem łyżeczką domagał się jedzenia, a najmłodsze spokojnie spało w kołysce.

Gdy dzieci dorosły, szła z nimi do kościoła w każdą niedzielę a gdy wolny czas pozwalał, także w dnie powszednie. Z czasem wybierała się z nimi na bliższe i dalsze przechadzki.

W dzień odpustu miejscowego przyjeżdżali do nich krewni i dobrzy znajomi. Po skromnym, ale dobrym obiedzie mężczyźni zazwyczaj odosobniali się, mówiąc na tematy aktualne, o polityce, a kobiety pozostały w ogródku i jedna przed drugą zdradzała swoje kłopoty, troski, radości i pociechy. Wtedy to powiedziała Irena: „Tak, bywają i u nas ciężkie chwile, ale nie zapominajmy, że największa pociecha czeka nas gdy wychowamy nasze dzieci. I jedno mamy życzenie, by wyrosły na dzielnych ludzi, znających swoje obowiązki i idących za głosem powołania. Sześcioro ich mamy, a da Bóg wszyscy wyrosną na pożytecznych ludzi".

— — — — — — — — — — — — —

Doczekała się późnej starości. I przyszła choroba. Od dłuższego czasu leżała w łóżku.

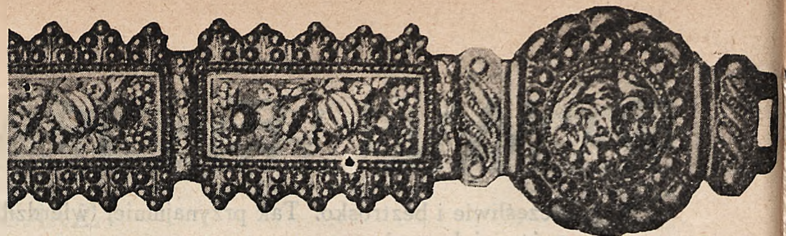
Mimo wszystkich dokuczliwych bolów i cierpień, czuła się dobrze. Dzieci roztaczały nad nią troskliwą opiekę. A w pewnym dniu sama wypowiedziała prośbę, by poproszono do niej kapłana, przygotowano stolik i nakryto czystym, lnianym obrusem. Potem prosiła najstarszą córkę, by napisała do Maryli, która wstąpiła do klasztoru, a obecnie pracowała gdzieś daleko na stacji misyjnej, że czuje się chorą i zapewne niezadługo umrze. Przez list przesłała ostatnie pozdrowienia, życzenia i matczyną dobroć.

A po kilku dniach przyniósł listonosz odpowiedź córki. Hela, najstarsza musiała go głośno przeczytać. Maryla pisała, że teraz więcej niż dawniej pamiętać będzie o matce w swych modlitwach, a jedną tylko ma prośbę, by tam we wieczności pozdrowiła od wszystkich ojca i przygotowywała dla każdego dziecka najpiękniejsze miejsce w niebie. Rzewny i piękny był to list. Chora gładziła go wychudzoną dłonią a przedziwny uśmiech rozpogadzał jej zapadłe oczy. Z wdzięcznością spoglądała na krzyż, wiszący nad łóżkiem, i zapatrzona w NIEGO — umarła.

Dzieci klęczały przed łóżkiem, na stoliku dopalały się świece...

Tł.: M. Gwoździówna.

JAK KOBIETY WALCZYŁY O ŚLĄSK ZA OLZĄ



Srebrny pas Ślązaczki.

Uczestniczki wielu zagranicznych pielgrzymek polskich, ostatnio rzymskiej (na kanonizację św. Andrzeja Boboli) i budapeszteńskiej (na Kongres Eucharystyczny) — przypominają sobie niewątpliwie kobietę w stroju śląskim, która swym śmiałym wystąpieniem i humorem nieraz wzbudzała zainteresowanie całej grupy. Przy tym zawsze się przedstawiała: przyszłam tu, aby się modlić o powrót Zaolzia do Polski, aby się skończyła niewola czeska. Była to Maria Sojkowa. Brała ona według swych sił i możności udział w pracy polskiej i katolickiej na Śląsku Cieszyńskim już przed wojną. W latach powojennych należała do Rady Narodowej w Cieszynie. Po zagarnięciu Zaolzia przez Czechów była narażona na prześladowania — ostatnie lata przepędziła w Cieszynie po polskiej stronie. — Przed pięciu laty spisała Sojkowa swoje wspomnienia z walki o Śląsk. Dzięki szczęśliwemu trafowi możemy je podać w naszej Gazecie. Drukujemy je z opuszczeniem niektórych zdań, bez większych zmian w ujęciu i stylu.

ODDAJEMY GŁOS DZIELNEJ ŚLĄZACZCE!



P. Maria Sojkowa b. członkini rady narodowej Śląska Cieszyńskiego.

Dnia 9 października b. r. witała ona w Jabłonkowie ministra Becka w prostych i gwarą śląską wypowiedzianych słowach.

Przemówienie swe zakończyła podziękowaniem wszystkich kobiet śląskich, „które dzieci swe tak wychowały, że zostały Polakami, za wprowadzenie do Ojczyzny".

Opiszę, jak znalazłam się w Radzie Narodowej. Dziś przedstawia mi się to jak sen.

Od mała miałam pociąg do czytania i zawsze mnie zaciekawiało, jak to wszystko się tworzy na świecie. Mój ojciec także dość dużo czytywał i zawsze jakieś książki były w domu. Bracia chodzili do szkół, ale — jak to bywa — tacy z rodzeństwa pozostałe w domu zawsze traktują podrzędnie. Matka nasza była kobietą energiczną. Miała znajomości w mieście i postanowiła wysłać mnie także do szkół. Miałam bowiem po babce 30 reńskich[1]) za krowę. Oddała mnie więc do zakładu S. S. Boromeuszek w Cieszynie, gdzie byłam trzy lata. Do starości utkwiło mi dobrze w pamięci całe otoczenie.

Doma było dużo roboty, tak że czas schodził prędko z roku na rok. Zimą jednak było dużo wolnego czasu, to się czytało, co tylko dało się wypożyczyć. I wszyscy mnie zawsze przeganiali z tym czytaniem, bo żadnego to tak nie zajmowało, jak mnie.

Miałam już jakie siedemnaście lat, jak zaczęły się tworzyć towarzystwa socjalistyczne, których rozwój śledziłam z zainteresowaniem. Aż tu naraz gruchnęła wieść, że jakiś ks. Stojałowski, który także jest „socjalistą", przybył do Cieszyna, a z nim jakiś młodzik Reger. Było to co posłuchać. Ani plotek baby nie miały czasu tworzyć.

W tym mniejwięcej czasie zmarła moja siostra, po której pozostało troje sierot. Tu rozpoczął się nowy okres mego życia, gdyż wyszłam zamąż za szwagra-wdowca, który pracował w hucie trzynieckiej. Dzięki temu miałam możność poznać teraz tych socjalistów. Były tu dwa obozy: jedni socjal-demokraci, drudzy stojałowczycy. Naturalnie, że my, jako katolicy, byliśmy zwolennikami Stojałowskiego. Walka była coraz zaciętsza. Stojałowskiego wszyscy zwalczali. Reger założył w Zagłębiu swój obóz (socjalistyczny). Przyłączyli się do niego inni wspólnicy: dr Kunicki i Kłuszyńska Dorota, a wreszcie i Chobot z Trzyńca. Teraz mąż zawsze opowiadał o tym, co pisze gazeta Regerowa: Robotnik Śląski. Ja miałam dużo zajęcia na roli i około dzieci, ale zawsze było trochę czasu w niedzielę na przeczytanie gazet. Irytowały mnie bardzo paszkwile na księży, tak, że odważyłam się napisać raz do naszej gazety celem odparcia tychże. I tak powoli poduczyłam się polityki. Czyniłam to coraz śmielej, aż doszło do dysputy na zgromadzeniach. A czas upływał. Na Śląsku już wrzała walka stronnictw na dobre, tak, że katolicy byli zmuszeni do obrony, aby ich nie pochłonęli socjaldemokraci. W tym celu zaczęli tworzyć towarzystwa. Miedzy innymi powstał Związek Niewiast Katolickich w Cieszynie pod przewodnictwem ks. Londzina. Znalazłam się tam naturalnie i ja. Dzięki temu zapoznałam się z jednostkami z inteligencji: dzięki zaś zebraniom z Regerem, Kunickim, także Kłuszyńską.

Aż tu naraz wojna i wszystko stanęło na martwym punkcie.

Utworzono Legiony w Parku Sikory, do których wstąpił i mój syn, Janek. I poszli na wojnę, a myśmy dalej pracowali na roli. W tych to czasach wytworzyły się nowe typy ludzi: materialiści, skąpcy i ludzie na wskroś fałszywi, dzięki którym nastały takie czasy, że jeden drugiego wyzyskiwał bez względu na istniejące związki rodzinne. Jakiś obłęd owładnął ludźmi, gdyż wszyscy pieniądzowi hołdowali. Bez pieniędzy człowiek nie miał żadnego znaczenia.

Tak przeszła wojna. Śledząc pilnie gazety, dowiaduje się z Gwiazdki Cieszyńskiej, że ma się odbyć w Orłowej wielki wiec polski. Naturalnie jakżeby to bezemnie tam się odbyło. Nie mówiąc nic nikomu, jadę do Orłowej na tenże wiec. Z ludu, z okolic Trzyńca i Jabłonkowa byłam tylko ja i Mrózek, rolnik z Łyżbic. Reszta to samo inteligencja: nauczyciele, profesorowie i urzędnicy. Na dworcu w Orłowej natłok był ogromny. Krępując się tym, że jestem tak odosobniona, zostaję w tyle, dopóki wszyscy nie przejdą. A ks. Londzin, którego wszyscy pozdrawiali, zatrzymał się na peronie, czekając, dopóki nie nadejdę. Zagadał do mnie i idąc ze mną razem na rynek, objaśniał coś, czego ja pojąć nie mogłam. A w końcu się pyta, czy ja się na to zgadzam? Naturalnie, żem się od razu zgodziła. Dopiero później zrozumiałam, że to chodziło o Radę

[1]) Złoty reński był pieniądzem austriackim wartości około 3 złotych polskich.



Srebrny pas Ślązaczki.

Narodową; ja zaś miałam zostać posłanką do niej z ramienia Związku Śląskich Katolików. Tak weszłam w skład Rady Narodowej[1]).

A teraz opowiem, jaki obrót wzięły sprawy w Radzie Narodowej (w r. 1918-1919) w czasie mego w niej pobytu.

Na rynku cieszyńskim zorganizowano wielki wiec. Wszystkie stany zgłosiły swoich mówców i ja także miałam przemawiać. Grypa powaliła mnie jednak na łóżko, tak że porzuciłam już myśl występowania w roli mówcy na tymże wiecu. Pomimo tygodniowej choroby poszłam jednak razem z pochodem piechotą z Trzyńca do Cieszyna. A tu rynek pełny już ludu. Wszystko wre, jakby się pszczoły roiły. Każdy wygląda, jakby wszedł do cudownego kraju, gdzie nowy okres ma nastać. Jak tu teraz dostać się w tym natłoku do trybuny, ustawionej przy Domu Narodowym. Spotykam dr Bogocza, i proszę go aby mi dopomógł przedostać się do trybuny. Stali już tam Reger, Kłuszyńska i nasz ukochany ks. Londzin. Przemawiają jeden po drugim a lud raz poraz entuzjazmuje się tak, że aż Cieszyn drży w posadach. W końcu ks. Londzin podchodzi do mnie i mówi: „Niech pani idzie" — a przy tym uśmiecha się. Kłuszyńska kilka razy się pyta: co też pani będzie mówić? A ja sama nie wiem co będę mówić. Wstępuję więc na mównicę a wszystko się ucisza. Patrzą: dyć to baba, co też powie? Jeden mówi: to jest ciotka moja, a inny: to tego chłopa baba. I tak zaciekawienie szmerem przechodzi po ludziach. Tam znów dwaj księża mówią do siebie: synku, skryjmy się, bo już nic po nas, jak już baby mają mieć kazania. A ja się wysilam, aby wypełnić jakoś zlecenie ks. Londzina. W pamięci miałam jego wskazówki: nie musi pani wiele mówić, tylko się pokazać, że ten stan kobiety, Polki wieśniaczki jest również czynny w tej wielkiej dla Polski chwili. Przecież to jest odrodzenie naszej ojczyzny po tylu boiach w których nasi synowie brali udział. I przemówiłam. I wywiązałam się dobrze z zadania. Gratulacje, powinszowania posypały się jak z rękawa.

Co tydzień odbywały się w Cieszynie posiedzenia w Domu Narodowym, później zaś na Zamku.

W tym czasie wracali żołnierze do domów. Janek, będący jeszcze w Wiedniu, zapytuje listownie, co ma sobą zrobić. „Wracaj natychmiast do domu" — odpisuję mu. Przyjechał akurat w trzy dni po tym wiecu. Poszedł ze mną do Cieszyna, gdzie go przydzielono do jakiejś kompanii. Wracamy wieczorem do domu, aż tu w Trzyńcu widzimy tłumy ludu, jak na froncie; zrozumieli, że nastała wolność. Jak wolność, to wszystko wolno, nastały więc rabunki wszelkiego rodzaju. Utworzono tedy milicję w Domu Robotniczym, której członkowie wyszli na ulicę z karabinami pomiędzy pospólstwo. Wyglądało to tak, jak w Algierze według opisu Sienkiewicza z powieści o tych dzieciach uprowadzonych. Janek tylko się temu przypatruje. A ja mu mówię: pokaż mi jakeście na froncie walczyli o tę ojczyznę. I pokazał. Zebrał milicjantów i za pół godziny oczyścił z pospólstwa ulice Trzyńca. Wszyscy mieszkańcy odetchnęli z ulgą. Potem poszedł z milicjantami do Domu Robotniczego, w którym dowódca milicji miał swą siedzibę. Dowódca widział to wszystko z góry i był mocno niezadowolony, że Janek mieszał się do jego spraw. Zeszedłszy na dół wyraził Jankowi to niezadowolenie. Wkrótce potem udaliśmy się do domu.

Za dwa dni przyjechał burmistrz Trzyńca prosić Janka, aby objął dowództwo milicji w Trzyńcu.

Czas upływał a różne wieści krążyły pomiędzy ludem: Paderewski jedzie do Polski, Masaryk przyjechał do Pragi i inne. Aż huczy po Zagłębiu[1]) o ogłoszeniu republiki (czechosłowackiej).

Narodni Vybor w Ostrawie zawiera umowę z Radą Narodową. Ja jeżdżę pociągiem drugą klasą, co bardzo niepokoi konduktora: co to właściwie ma znaczyć. Pokazuję mu legitymację, że zasiadam w Radzie Narodowej. Nie mógł tego przełknąć, ale zamilkł.

W Trzyńcu dość spokojnie, ale mili „towarzysze" umyślili zemstę na Sojkule, która im psuje wszystkie szyki na zgromadzeniach, zwalcza, a tylko księży zastępuje. I przyjechało około trzysta wyrostków do koksowni z taczkami, aby Sojkę (mojego męża) wywieźć z huty. Kładą go w taczki, i przenosząc przez szyny, aby go nie potłuc, wysadzają za bramą: „to mosz za babe, a więcej sie tu nie pokazuj". Mąż naturalnie był zirytowany i miał początkowo zamiar dobrze ich poturbować. Na lepszy jednak wpadł pomysł i dobywszy portmonetki zapytuje: „wiela[2]) wom będę dłużen za te parade?" — to ich dobiło.

I następowały wypadki jeden po drugim. Na posiedzeniach było trzeba również postępować bardzo delikatnie z „towarzyszami". Zwłaszcza ciągle wszystkich krytykowali, grozili wywożeniem taczkami, gdyż sposób ten socjaliści bardzo polubili.

Tak przeszło do stycznia. Lud przyzwyczajał się już do posłuchu Radzie Narodowej i wszystko dobry by wzięło obrót. Aż tu nadeszła wieść, że Czesi przyjdą robić „klid"[3]). U nas przygotowywano się właśnie do wyborów do Sejmu warszawskiego.

Było to w styczniu 1919 r., prawie w niedzielę. Mąż, wracający z nocnej pracy, oznajmia mi, że wielu Polaków zostało aresztowanych przez Czechów. I wojska czeskie idą już od Czaczy. Zaczęła się walka czesko-polska o Śląsk. Janek z trzyńczanami stoczył z nimi bitwę w Bystrzycy, wskutek czego wycofali się na Słowaczczyznę.

W tą samą jeszcze niedzielę zgłosiło się wielu ochotników do odparcia najazdu czeskiego. Ale z Cieszyna przychodzi rozkaz, by wycofać się do Skoczowa. Janek polecił mi telefonicznie, abym przybyła do Trzyńca. To spowodowało, że znalazłam się w samym wirze wypadków, nieznanych dla mnie. Milicja wyjechała w kierunku Ustronia a potem Skoczowa. Ja i trzej mężczyźni wybraliśmy się do Wisły, a potem przez Malinkę do Brennej i Górek. Tak obeszliśmy Skoczów i dostaliśmy się do Bielska. Była to droga uciążliwa, trwająca od rana do wieczora. Już słońce zachodziło, jak dochodziliśmy do Bielska. Pod „Czarnym Orłem" w Białej zebraliśmy się razem z innymi, także tutaj przybyłymi. Pierwszą noc spędziliśmy w Bursie, dopiero nazajutrz znaleźliśmy sobie pomieszczenie u jednej wdowy. Tak przeżyliśmy tydzień, nie wiedząc nic, co się dzieje w domu.

W tym czasie redaktor Nardelli z Cieszyna, chorujący na grypę, musiał także uchodzić przez Istebną do Milówki, a potem koleją do krakowskiego szpitala. Wysłano mię za nim przez Żywiec do Suchej, gdzie miał się zatrzymać na noc, w celu dopomożenia żonie przy odwiezieniu go do szpitala. Po przyjeździe do

[1]) Rada Narodowa objęła władzę na polskim Śląsku Cieszyńskim po rozpadnięcu się Austrii.

[1]) Zagłębie węglowe karwińskie, gdzie Czesi mieli znaczne wpływy. [2]) ile. [3]) porządek.

Suchej już ich tam nie zastałam. Wobec tego zaraz w nocy udałam się za nimi do Krakowa. W podróży, w Kalwarii przy kasie, skradziono mi wszystkie dokumenty, wskutek czego o mało co nie zostałam w Krakowie aresztowaną. Na szczęście znalazł się tam jeden z naszych, który dał poświadczenie, że należę do Rady Narodowej. Tymczasem Nardelli zmarł w szpitalu krakowskim.

A pod Skoczowem stoczono walną bitwę z Czechami, o której ja nic nie wiedziałam. Powróciłam do Bielska, gdzie przebyliśmy jeszcze tydzień. Ponieważ sprawa z układami przewlekała się, decydowaliśmy się sami powracać do domu.

A o Janku żadnej nie miałam wiadomości, ani gdzie się znajduje. Kilka razy telefonowaliśmy do Skoczowa, ale i tam o nim nic nie wiedziano. Martwiłam się tym bardzo, aż tu naraz dzwonią do mnie, że Janek jest we Wiślicy. Oczywiście, że natychmiast go odwiedziłam. Opowiadał mi, jak gnali bydło z folwarku z Dębowca do Skoczowa, chcąc je uchronić przed Czechami, którzy wszystko rabowali.

Tymczasem rozeszły się wieści, że Czesi mają się cofnąć za Olzę, ale jakoś się z tym nie śpieszyło, co my znosiliśmy z przykrością. W sanatorium w Bystrej, gdzie byli górnicy z Zagłębia, przebyłam blisko tydzień. Wreszcie postanowiliśmy sami udać się do domu. A szło nas wielu torem kolejowym ze Skoczowa w kierunku na Cieszyn. Aż tu w Goleszowie natknęliśmy się na pierwsze czeskie placówki, które nas zatrzymały. Było to coś tak oburzającego, że „strzewa"[1]) w brzuchu protestowały na takie braterskie pozdrowienie. W Cieszynie znaleźliśmy wszystko skotłowane, że się w tym zorientować nie można. Różne wykolejone jednostki bujały i odgrażały się. W hotelu „Pod Jeleniem" osiedli Alianci i rozpoczęli rządy.

Rada Narodowa była rozproszona po całej Polsce. Ks. Londzin z Kłuszyńską wyjechał do Warszawy, Reger udał się do Krakowa, inni znowu byli internowani w Lipniku na Morawie. My zaś reszta obijaliśmy się teraz po Cieszynie. A było czemu się przyglądać, jakie to harce się tu wyprawiały. Krążą słuchy, że wojsko polskie ma przyjechać do Cieszyna. Czesi wydają ostatnią komendę na rynku przed „Jeleniem" i uchodzą za Olzę. Nikt tam za nimi nie płacze. Dość napatrzyliśmy się im przez ten tydzień, gdyż ich szpicle uganiali się, węsząc kogo by ująć.

Utworzono linię demarkacyjną. Od Aliantów otrzymałam legitymację, zapewniającą mi spokój. I tak też było. Na legitymacji był spokój, ale na „czarze" (linii demarkacyjnej) były trudności: ciągłe donosy na mnie i skargi, bo ogromnie za Polską agitowałam. Co tydzień odbywały się posiedzenia Rady Narodowej, gdzie pracowało się nad ustaleniem granicy. Robiono przygotowania do plebiscytu i omawiano różne projekty i wysłanie delegacyj do Paryża, Londynu, Warszawy i Pragi. Do Paryża jeździli socjal-demokraci, gdyż obiecywali, że oni to załatwią najlepiej.

W końcu i mnie przypadło wyjechać w delegacji do Warszawy. Byliśmy tam tydzień, w ciągu którego chodziliśmy do Belwederu do Piłsudskiego i ministra spraw zagranicznych, Skrzyńskiego. Wszyscy zgodnie obiecywali poparcie, ale w rzeczywistości sprawy inny wzięły obrót.

Było to właśnie z końcem wiosny, kiedy Czesi urządzili mi niespodziankę, przychodząc mnie aresztować. Zabrali mnie z sobą na posterunek, w celu wywiezienia do Ostrawy, dokąd ja nie miałam wcale ochoty jechać. Ostatecznie skończyło się na gadaniu, gdyż pozostawili mnie w spokoju i odjechali.

[1]) kiszki.

Ludzie nie mieli lepszego zajęcia od stemplowania pieniędzy i zwożenia mąki i cukru z Gnojnika, gdzie ją rzekomo miano wydawać za darmo. Przykro mi było patrzeć na to wszystko, tym więcej, iż Janek zaczął coraz bardziej chorować.

Utworzono wówczas komitety plebiscytowe z członków wysuniętych przez stronnictwa. Ks. Ściskała zorganizował jedną wycieczkę do Częstochowy, gdzie przemawiałam na wiecu, drugą do Krakowa. W tej ostatniej nie wzięłam udziału z powodu wyjazdu do Janka, leczącego się w Rajczy. Wspomnieć wypada, że w czasie tej podróży nastąpiło zderzenie pociągów w Skoczowie, gdzie dość przeżyło się strachu.

Później odbył się wielki wiec w Jabłonkowie, gdzie również przemawiałam. W końcu zorganizowano wielki pochód do Cieszyna w celu zamanifestowania Aliantom pragnień ludności, skierowanych do jak najszybszego zakończenia sprawy.

Polska się tworzyła sama, z woli Bożej, bo nie miała znikąd żadnej protekcji, a tylko samych wrogów, którzy ją chcieli już w zarodku zniszczyć. Nawet w Radzie Narodowej znaleźli się tacy „patrioci gorliwi" wśród socjalistów, którzy oświadczyli właśnie w czasie, kiedy bolszewicy parli na Warszawę, że ani jeden żołnierz z cieszyńskiego nie śmie iść bronić Ojczyzny. I w Bystrej podobne kuto projekty, że Niemcy z Węgrami sobie podają ręce przez Cieszyńskie i będzie wszystko w porządku. Wszędzie tylko ci bolszewicy, ci zbawcy ludzkości, co raj tworzą na ziemi. Stanęło wreszcie na tym, że zrobili granicę między Polską a Czechami i ja zostałam w Czechosłowacji.

Już 15 lat mija od czasu, jak istniała Rada Narodowa. Wielu z jej członków wymarło i my zdążamy za nimi, ale Polska rośnie, potężnieje tak, że wszyscy muszą się z nią liczyć.

Od czasu do czasu zdarzają się ważniejsze dni. I tak przed trzema laty byłam na uroczystości Żwirkowej w Cierlicku, w zeszłym roku na Zjeździe Polaków z Zagranicy w Warszawie, ostatnio zaś na odsłonięciu Pomnika Legionów w Cieszynie. I tak szybko schodzą lata, że już 60-siątka przyszła do człowieka. Nastał taki ogólny zastój, że ci, co hołdowali pieniądzowi żyją w ciągłym strachu o swego złotego cielca. Kryzys uczy wprawdzie ludzi żyć znowu trochę po ludzku. O były dawniej czasy, że pieniędzy nie było, a ludzie lepiej się mieli, bo żyli wedle przykazań Bożych. Dzisiaj zaś nie ma dla wielu Boga; tak rozkrzewiło się nowoczesne pogaństwo.

Maria Sojkowa — Oldrzychowice.

Ogólne rady i wskazania

potrzebne do prawidłowego wykonania „ciasta piernikowego" i jego wypieku.

Może czytelniczki zdziwią się, że już w numerze listopadowym podajemy rady praktyczne i przepisy na pierniki. Robimy to dlatego, że tylko wtedy możemy otrzymać piernik dobrze wykonany, jeżeli najpóźniej w początkach listopada zarobimy ciasto piernikowe, a w początkach grudnia zajmiemy się jego wypiekiem.

Podstawowymi składnikami ciasta piernikowego są mąka i miód, czasami korzenie, cukier a niekiedy nawet środki spulchniające. Do ciasta bierzemy mąkę pszenną lub żytnią, możemy również łączyć obydwie mąki w równych ilościach. Mąka powinna być sucha i dobrze przesiana. Miód do pierników należy kupować w dobrym gatunku, najlepszy jest miód akacjowy, o zielonkawym odcieniu, lub lipowy o złotym kolorze.

Trzecim składnikiem ciasta piernikowego będzie cukier, którego proporcja waha się i zależna jest od ilości miodu. Im mniej miodu dodajemy do ciasta, tym więcej musimy procentowo dać cukru, jednak w tym wypadku piernik traci na swej wartości zdrowotnej i odżywczej.

Z przypraw do ciasta piernikowego dodajemy korzenie ogólnie znane jak cynamon, goździki, pieprz angielski, kardemon, gałka muszkatowa itd. Nie trzeba jednak przesadzać w ilości dodawanych używek, gdy będzie ich za wiele ciasto po upieczeniu nabierze gorzkawego posmaku. Używki należy dodawać doskonale sproszkowane, by całe ciasto jednolicie było nimi obdarzone. Aby otrzymać ciemno brunatny kolor w piernikach dodajemy karmel do rozpuszczonego miodu, albo co jeszcze lepiej, wsypujemy do mąki przed wyrabianiem pewną ilość kakao.

Ciasto piernikowe zarabiamy w następujący sposób: miód w dość dużym garnku, bo łatwo kipi, zostawiamy na skraju blachy aż do zupełnego rozpuszczenia, następnie przesuwamy na większy ogień i kilka razy zagotowujemy, niekiedy pozwalamy nawet na zarumienienie. Następnie wsypujemy cukier kryształ a gdy on się rozpuści, zestawiamy garnek z ognia. Mąkę najlepiej wsypujemy do miski porcelanowej lub fajansowej, mieszamy dokładnie z używkami i wlewamy do niej po trochu przestudzony letni miód z cukrem. Nie trzeba wlewać gorącego miodu, bo mąka się zaparzy. Dokładnie kopyścią wyrabiamy ciasto, gdy będzie zupełnie zimne wykładamy z miski, opakowujemy dokładnie płótnem i pergaminem, wkładamy do kamiennego garnka i przechowujemy w chłodnym i doskonale suchym miejscu. Od czasu do czasu musimy do ciasta zaglądać i baczyć by nie spleśniało (w wypadku pleśni obmyć i suszyć w letnim piecyku). Czas przechowywania jest zwykle bardzo różny, może trwać rok a możemy go również ograniczyć do paru dni. Podczas okresu przechowywania poddajemy piernik pewnej fermentacji, która polega na rozkładaniu się cukru pod wpływem bakterii.

W dzień pieczenia zostawiamy ciasto przez 1 godz. w ciepłym miejscu, by zmiękło, następnie dodajemy żółtka ubite na parze, małe ilości masła rozpuszczonego i letniego, środki spulchniające w postaci natronu, potażu i amoniaku. Na zakończenie wkładamy dodatki jak bakalie, orzechy, migdały i skórkę pomarańczową. Środki spulchniające przed dodaniem rozpuszczamy w małej ilości letniej wody. Proporcja środków musi być bardzo dokładna; gdy będzie ich za wiele ciasto po upieczeniu będzie miało pory nierówne, poszarpane i za wielkie natomiast gdy weźmiemy ich za mało, ciasto będzie ciężkie i gliniaste.

Przy zarabianiu możemy do pierników również dodawać alkohol, sok cytrynowy, oraz małe ilości gęstych marmelad. Alkohol i cytryna wpływają na kruchość piernika a marmelada na jego wilgotność.

Pierniki pieczemy na blachach wysmarowanych woskiem; tylko do pierników biszkoptowych wykładamy blachę papierem wysmarowanym masłem i wysypanym bułeczką. Bardzo ważnym czynnikiem w udaniu się pierników jest dobre dostosowanie temperatury pieca. Najłatwiej ją utrafić jeżeli będziemy wypiekać ciasto piernikowe w piecu po chlebie. Piec powinien być wygrzany, jednak nie za gorący, bo wtedy ciasto przypieka się na wierzchu, utworzy się skorupa, która nie pozwoli na rośnięcie spodnich warstw. Piernika nie należy gwałtownie ruszać gdyż łatwo opada. Dla połysku należy piernik przed włożeniem do pieca posmarować całym jajkiem, dobrze rozbitym. Ciasto piernikowe możemy piec w całości na blasze, wtedy może być wolniejsze lub wykrawać z niego najrozmaitsze formy i desenie.

Po upieczeniu zimne pierniki trzeba koniecznie chować do puszki lub jeżeli są w całości pieczone zawijać w płótno i chować do kartonów. Okres przechowywania piernika upieczonego ma na celu zwiększyć jego kruchość oraz pogłębić jego miodny aromat. Pierniki parę dni po upieczeniu możemy przekładać rozmaitymi masami; jak orzechowa, kajmakowa, figowa, marmeladką z jabłek itd. Pierniki lukrujemy na parę dni przed świętami, gdyż lukry ogólnie starzeją się i tracą na wyglądzie i smaku. Lukrować możemy pomadką czekoladową lub zwyczajnym białym lukrem z dodatkiem olejków aromatycznych, (migdałowy, rumowy). Poza piernikami wyżej wspomnianymi, możemy również wypiekać tzw. „pierniki na prędce", wtedy zarabiamy wszystkie dodatki równocześnie i zaraz pieczemy. Te ostatnie są po upieczeniu dość twarde tak że upieczone musimy również przez parę tygodni przechować by zmiękły i nabyły kruchości a wtedy także będą dobre w smaku.

Piernik jest jednym z najzdrowszych i najpożywniejszych ciast. Szczególnie poleca się go ludziom cierpiącym na leniwe trawienie. Codzienne spożycie tego specjału przyczynia się do uregulowania pracy przewodu pokarmowego. Również polecamy go dzieciom, jednak tylko wtedy gdy nie będzie zawierał za wiele korzeni. Natomiast nie wskazany jest dla osób chorujących na nerki, gdyż w tym wypadku nawet najmniejsza ilość używek może podrażnić i ujemnie wpłynąć na miedniczki nerkowe.

Przepisy.

Piernik toruński.

1 kg ciasta miodowego żytniego. Proporcja: 1 f. miodu i 1 f. mąki żytniej lub oszczędniej ½ f. miodu, ½ f. cukru, 1 f. mąki żytniej.

Sposób robienia: Miód kilkakrotnie zagotować przestudzić, dodać do mąki, dobrze wyrobić ciasto, przechować najmniej przez 1 miesiąc.

1 kg ciasta miodowego pszennego, robić jak powyżej tylko zamiast mąki żytniej dodajemy pszenną.

1 kg ciasta cukrowego. Prop.: 3 jaja, 4 żółtka, ½ f. cukru, 1 łyżka masła. Sposób robienia jaja, żółtka, masło, cukier utrzeć do białości dodać tyle mąki aby ciasto po wyrobieniu było gęstawe. Ciasto cukrowe robi się w dzień pieczenia pierników.

Pierniki: ciasto miodowe pszenne i żytnie przepuścić przez maszynkę zmięszać z ciastem cukrowym, dobrze wyrobić dodać 2 dkg potażu rozpuszczonego w letniej wodzie i 3 dkg amoniaku, korzeni do smaku. Można również dodać orzechy i bakalie. Z tego ciasta możemy robić najrozmaitsze gatunki pierników np. całuski, paluszki, katarzynki, brukowce, piernik przekładany itd.

Piernik toruński prędki.

1 f. miodu, 1 f mąki żytniej, korzenie, łyżeczka natronu, 2 całe jajka, ¼ f. cukru, 1 łyżka masła, ½ łyżki gęstego dżemu pomarańczowego.

Sposób robienia: Miód zrumienić, przestudzić, dodać do mąki, wsypać korzenie, łyżeczkę natronu rozpuszczonego we wodzie, dodać jajka ubite z cukrem, na zakończenie masło i dżem. Dobrze ciasto wyrobić, wyłożyć na blachę wysma-

rowaną woskiem, piec w całości w miernym piecu, przybrać połówkami orzechów.

Pierniczki tanie.

Prop. 1 kg mąki pszennej lub żytniej, 20 dkg miodu, 6 jaj, 60 dkg cukru, 2 dkg różnych korzeni, 2 dkg amoniaku, mleka tyle ile ciasto zabierze.

Sposób robienia: Zagnieść wszystkie dodatki, zostawić na noc na drugi dzień wykrawać pierniki.

Piernik biszkoptowy.

Prop.: 8 jaj, 1½ szkl. cukru, 1 szklanka miodu, 4 szklanki mąki, ½ szklanki bakalii, ½ łyżeczki sody, łyżka masła, korzenie.

Sposób robienia: Żółtka utrzeć z cukrem, masłem i miodem do białości, dodać sodę rozpuszczoną, korzenie, białka dobrze ubite a na białka wsypać mąkę i bakalie, dokładnie wymieszać, wykładać na blachę wyłożną papierem, wysmarowaną masłem i wysypaną bułeczką. Piec taki jaki do baby mielonej. Piernik ten najlepiej nadaje się na kostkę piernikową.

Masa kajmakowa.

Prop. ¼ l mleka, ¼ l śmietanki, 40 dkg cukru, 5 dkg masła świeżego, wanilia.

Sposób robienia: Wszystkie dodatki włożyć i wlać do rondla, gotować na wolnym ogniu, bacząc, aby się masa nie przypaliła. Gdy się zagęści będzie gotowa, wtedy prędko wylać ją na przecięty piernik i zaraz go złożyć bo mocno i prędko tężeje.

Masa figowa.

Prop.: 1 f. fig, 25 dkg cukru, 12½ dkg orzechów laskowych, 2 cytryny.

Sposób robienia: Ugotować gęsty ulep z cukru dodać figi przepuszczone przez maszynkę, orzechy drobno posiekane i sok z cytryn. Przez chwilę wszystko gotować a następnie wyłożyć na piernik również spiesząc się, bo masa prędko gęstnie. Te dwie masy figowa, kajmakowa i marmeladka z jabłek najlepiej nadają się do przekładania pierników ponieważ nie tracą na wartości przy dłuższym przechowaniu.

Maria Kuczkowska

CO MAM ZROBIĆ W LISTOPADZIE W MOIM OGRODZIE.

W sadzie: Jeżeli nie było to zrobione w październiku, to teraz jest pora ziemię między drzewami głęboko przeorać lub skopać. Pod drzewami, na których pojawiły się szkodniki lub choroby, rozsypać niegaszone wapno i przygrabić. Młodsze drzewka przywiązujemy do palików, żeby miały oparcie, gdy przyjdą wichury jesienne i zimowe. W dalszym ciągu zakładamy opaski lepowe celem chwytania szkodników, (zwłaszcza piędzika przedzimka) i mechanicznie usuwamy gniazda gąsienic i jajeczka różnych szkodników. W listopadzie należy także wykończyć sadzenie drzewek i krzewów owocowych. Wietrzyć piwnice i przebierać owoce.

W warzywniku: W początkach listopada kończymy zbiór kapusty, wykopujemy selerę, która przy końcu najwięcej rośnie i dlatego dobrze jest zostawić ją jak najdłużej w ziemi, i wykopujemy dalie, które przed złożeniem do piwnicy dobrze osuszamy na słońcu, żeby nie pleśniały i nie psuły się. Kopce z warzywem wietrzyć w dni ciepłe, w razie nadejścia mrozów przykryć je trochę grubiej liśćmi i warstwą ziemi. Ziemię w warzywniku przeorać lub skopać głęboko, starannie wyciągając perz i zostawić na zimę w ostrej skibie, grabienie jest wielkim błędem. Przed kopaniem nawieźć ogród dobrze przetrawionym obornikiem z wyjątkiem tych zagonów, na których w przyszłym roku będzie groszek, fasola i selera, gdyż te warzywa świeżej mierzwy nie znoszą, zwłaszcza grochy, które rosną wtedy bujnie, a mało dają stręków. Rabarber i szparagi nawieźć przetrawionym gnojem. Szparagom doskonale robi nawóz ptasi (od kur i gołębi). Cebulę na strychu w razie mrozu zgarniać na większe kupki i nakrywać sianem lub płachtami, ale nie grubo, bo zacznie wcześnie wyrastać. Kwiaty trwałe przykrywamy liśćmi, róże okrywamy słomą lub gałązkami świerkowymi. Kwiaty pokojowe podlewać umiarkowanie i obmywać liście z kurzu. Stojące na oknie obracać od czasu do czasu, żeby się nie krzywiły i równo rosły.

Jak walczyć z mączniakiem u agrestu.

Mączniak zwany także rosą mączną a występujący w postaci szarawego nalotu na listkach i owocach agrestu jest chorobą bardzo rozpowszechnioną i nie opanowany w początkach powoduje nieraz zniszczenie całej plantacji agrestu. Sposobów zwalczania jest dużo, a co do ich skuteczności zdania są różne. Ja przeprowadzałam kurację w następujący sposób: opadłe liście jesienią zgrabić i spalić. Gdy krzaki są już zupełnie nagie, opryskać je dokładnie za pomocą starej szczotki lub wiechcia mlekiem wapiennem (wapno z wodą, takie jak do bielenia pni na wiosnę) z krowieńcem. Ziemię pod krzakami okryć grubo końską mierzwą i tak zostawić przez zimę. Z końcem zimy opryskać 2% roztworem karboliny sadowniczej. Słomiastą mierzwę zgrabić, a pozostałą drobną przekopać. W czasie wzrostu (przed zakwitnięciem, po okwitnięciu i po zawiązaniu owoców) spryskiwać pół procentowym roztworem sody do prania z szarym mydłem. (Pół procentowy roztwór = ćwierć funta na 25 litrów, na 10 litrów 50 gramów). Ziemię pod krzakami dobrze jest posypać niegaszonym wapnem i przygrabić. Jeżeli agrest był bardzo silnie opanowany przez mączniak, to w pierwszym roku rezultat kuracji będzie mało widoczny. Owoce zarażone, a także gałązki najlepiej zawczasu zebrać i spalić. Zimą i wiosną postępować tak samo, a w drugim roku duża część owocu będzie już możliwa do użytku.

Kilka słów o płodozmianie.

Tak samo jak w polu należy w ogrodzie koniecznie stosować płodozmian. Każda roślina potrzebuje innych składników do pomyślnego rozwoju, a sadzona kilka lat z rzędu w tym samym miejscu, wyczerpuje ten składnik z ziemi i z roku na rok udaje się coraz gorzej.

Przy układaniu płodozmianu należy się trzymać następującej zasady: warzywa wszystkie dzielimy na cztery grupy

1. **motylkowate** — groszki, fasole, bób, soja, itp.
2. **kapustne** — kapusty wszelkie, jarmuż, kalafiory, kalarepa, selera, pora
3. **ziarnkowe** — pomidory, ogórki, kukurydza, szpinak, sałata, rzodkiewki, rzepik
4. **cebulowe i korzeniowe** — cebula, buraki, marchew, pietruszka, mak, kopr, czosnek.

Kapustne sadzimy zawsze tam, gdzie w roku poprzednim były motylkowate, ziarnkowe po kapustnych, korzeniowe i cebulowe po ziarnkowych, a motylkowate po cebulowych i korzeniowych.

Płodozmian należy sobie ułożyć już na jesieni, gdyż trzeba wiedzieć, których kwater w ogrodzie mierzwić przed jesiennym kopaniem nie należy. Przy większym ogrodzie dobrze jest ponumerować poszczególne kwatery, albo narysować sobie mały plan. co ułatwi coroczne sporządzanie płodozmianu. H. S.



DONIESIENIA

KATOLICKIEGO STOW. KOBIET

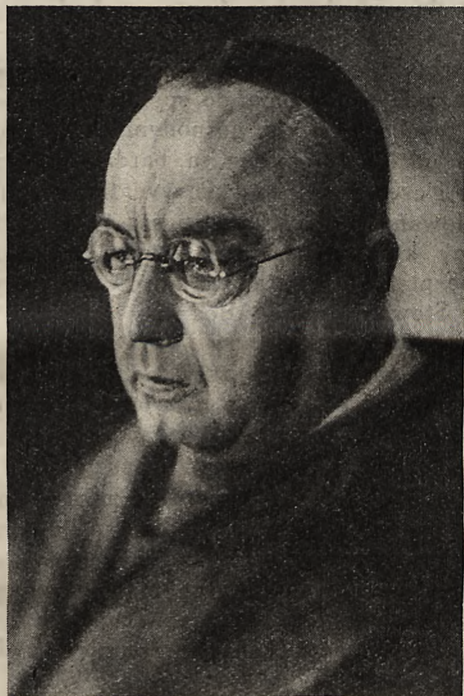
POZNAŃ, ALEJE MARCINKOWSKIEGO NR 1

nr 11 Poznan, listopad 1938 Rok XXX

PO ZGONIE ŚP. KS. INFUŁATA JÓZEFA KŁOSA

Odszedł od nas — wyrwany przez nieubłaganą śmierć w dniu 8 października 1938 r. — wielki dobroczyńca, założyciel naszego Stowarzyszenia a zarazem jego długoletni Patron, czuły i wyrozumiały na słabości oddanych Mu sług, honorowy prezes, a w wielu wypadkach nigdy nie zapomniany i najlepszy opiekun i kierownik dusz.

W roku 1907 wtedy kiedy jeszcze nikt w Poznaniu nie myślał o zajęciu się niezorganizowaną służbą do-



mową — On pierwszy położył fundament pod to, co później następcy jego dalej prowadzili. Dnia 4 sierpnia wspomnianego roku zwołał śp. Ks. Inf. Józef Kłos (naonczas prebendarz przy kościele Podominikańskim) wielkie zebranie służby żeńskiej całego miasta Poznania. Na zew Jego i gorący apel zaraz na tym pierwszym zebraniu zapisało się do Stowarzyszenia przeszło 400 osób, a później liczba członkiń wzrosła do 800.

Patronat nad tym nowym Stowarzyszeniem objął od razu śp. Ks. Inf. Józef Kłos i dzierżył go póty, póki nawał prac redaktorskich nie zmusił Go do złożenia tego tak trudnego i pełnego odpowiedzialności urzędu, tj. do roku 1926. Pan Bóg błogosławił rozpoczętemu dziełu, bo już w roku 1911 z inicjatywy śp. Założyciela powstało przy Stowarzyszeniu biuro pośrednictwa pracy, które mimo trudności stwarzanych przez ówczesne czynniki zaborcze do dziś istnieje i dobrze się rozwija. — W tym samym roku przy ul. Wrocławskiej powstało Schronisko dla służby domowej, będącej chwilowo bez pracy. Tam w obszernych lokalach urządzano dla stowarzyszonych kursy prasowania, kroju, szycia, lekcje śpiewu, pisania i czytania. W lokalu tym mieściła się również świetlica dla pracownic domowych, które każdą wolną niedzielę spędzały chętnie pod okiem swego ukochanego Założyciela przy różnych towarzyskich urozmaiceniach, śpiewie, deklamacjach, skromnym podwieczorku.

W roku 1912 w tymże Schronisku poczęto wydawać tanie obiady dla kobiet pracujących. W kuchni zatrudnione były stale dwie uczenice-stowarzyszone, które się uczyły gospodarstwa domowego. W latach 1921 do 1923 praca w kuchni znacznie się zwiększyła, wydawano bowiem tanie obiady dla inteligencji bezrobotnej z Kresów Wschodnich. Ponieważ zapotrzebowanie na warzywa było wielkie, wydzierżawiona została willa i ogród pod Kobylepolem. — W następnym roku z inicjatywy Ks. Inf. Kłosa nabyty został Młyn Olszak.

Dla zabezpieczenia własności Oddziału jak również, aby je reprezentować wobec władz, założył śp. Ks. Infułat Tow. „Rodzina", które zostało sądownie zarejestrowane. Do tejże „Rodziny" należał śp. Ks. Infułat prawie do lat ostatnich.

Nie sposób wyliczyć tu wszystkich zasług położonych przez śp. Założyciela dla dobra Oddziału. Skrzydła swej troskliwej opieki rozpościerał nie tylko nad majątkiem Oddziału lecz i nad wszystkimi jego członkiniami. Toteż nikt w Oddziale nie był otaczany taką miłością, wdzięcznością i takim głębokim poważaniem jak ten zasłużony a tak wcześnie zgasły Założyciel i dobroczyńca służby żeńskiej.

Gorące łzy członkiń towarzyszyły śp. Ks. Inf. Kłosowi do grobu. W pamięci stowarzyszonych pozostanie na zawsze, a szczera modlitwa nasza niech Mu wyprosi chwałę niebieską.

W. Gierszalówna

sekretarka Oddziału Kat. Służby Żeńskiej
p. w. Matki Boskiej Różańcowej w Poznaniu

ŚP. MARIA BEKEROWA

W poniedziałek, 4 października 1938 r. złożono na starym cmentarzu św. Marcina w Poznaniu zwłoki śp. Marii z Perlińskich Beckerowej. Odprowadziły je szeregi kobiet z szczerym smutkiem i prawdziwą czcią. Zmarła bowiem bez mała lat 50 poświęciła wytrwałej, ofiarnej pracy. Umarła na posterunku mimo 73 roku życia.

Śp. Maria urodziła się w Kruśliwcu pod Inowrocławiem. W 18 roku życia wychodzi za mąż, by w kwiecie wieku w 25 roku swego życia zostać wdową. Odtąd aż do śmierci, a więc przez lat prawie 50 oddaje życie swe na usługi Bogu, Ojczyźnie i bliźnim. Setkom dzieci — najwięcej opuszczonym — sierotom i podrzutkom poświęca lata swego wdowieństwa. Z własnych funduszy zakupuje w Inowrocławiu grunt pod „Przytulisko" dla dziatwy, której liczba dochodziła do setki. Znając zakusy germanizacyjne ówczesnych, niemieckich władz, skierowane głównie ku dzieciom — energią swą, a zwła-

szcza niezmordowaną ofiarnością i osobistą pracą — która zyskuje uznanie nawet obcych nam władz — przeprowadza u ówczesnego magistratu miasta Inowrocławia pozwolenie na zatrzymanie w Przytulisku dzieci nie tylko do 4 roku ich życia, jak to było przewidziane, lecz do 14 tj. do obowiązującego roku szkolnego. Bogu tylko wiadomo, ile dusz dziecięcych pracą swą uratowała od nędzy moralnej — od wynarodowienia.

Nadto przez szereg lat na czas letnich wakacyj śp. Maria Beckerowa umieszcza dzieci z Przytuliska w dworach i u gospodarzy, by opróżniony dom oddać 60 dzieciom chorowitym, przysłanym przez Tow. „Stella" na kąpiele solankowe. Poza tym jest jeszcze opiekunką urzędową 150 sierot.

Drugim umiłowaniem Zmarłej byli ubodzy. Od r. 1907 opiekuje się nimi w Inowrocławiu, a z chwilą utworzenia Rady Wyższej Tow. Pań św. Wincentego a Paulo, już mieszkając w Poznaniu — stale w niej pracuje — nieomal do ostatniego dnia swego życia — zawsze przekonana, że na odpoczynek czas będzie w grobie.

Śp. Maria Beckerowa gotowość współpracy okazywała wszędzie gdzie chodziło o dobro dusz i umysłu kobiet wszystkich warstw. Była *lat 25 członkiem Zarządu* obu wielkich organizacji kobiecych, powstałych czasu niewoli tj. *Związku Kobiet Pracujących* i Zjednoczenia Tow. Kobiecych oświatowych, późniejszego *Katolickiego Związku Polek* a dzisiejszego Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet. Usunęła się przed rokiem na Zjeździe Delegowanych gdy już czynną być nie mogła, a nie umiała być „martwym" członkiem organizacji i już tylko biednym pragnęła służyć do śmierci.

W obcowaniu z ludźmi zawsze uprzejma, uczynna i serdeczna, nie zrażała się do sprawy doznanymi przykrościami, uważając je za nieodłączne od wszelkiej pracy społecznej. Poszła na zasłużony spoczynek po życiu, w którym górowała myśl o Bogu, Ojczyźnie i bliźnim. Niech ją Bóg obdarzy wieczną radością.

Zofia Rzepecka.

KURS PRZYGOTOWANIA RODZINNEGO

Kilka lat temu — bo już w roku 1934 — Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej w Poznaniu zorganizowało w domu swoim w Bninie — „kurs dla narzeczonych". Celem jego było przygotowanie młodych dziewcząt, wstępujących w związki małżeńskie, do zrozumienia zadań żony, gospodyni domu, matki, wychowawczyni, do umiejętnego pełnienia trudnych i odpowiedzialnych obowiązków, jakie czekają na kobietę po wyjściu za mąż.

Kurs ten, jako rzecz całkiem nowa, na początku przyjęty był przez niektóre osoby z niechęcią, z domyślnikami, z powątpiewaniem, czy kursy tego rodzaju są potrzebne. Jednak większość społeczeństwa odniosła się do inicjatywy KSMŻ z szacunkiem i uznaniem.

Kursy przygotowania rodzinnego — bo taka jest obecnie ich nazwa — są rzeczywiście potrzebne. Świadczy o tym duże zainteresowanie się nimi w całej Polsce, napływ uczestniczek, ich duże zadowolenie po ukończeniu kursu, listy dziękczynne. Wiele już młodych mężatek i to tak byłych druhen jak i osób z poza Organizacji zwracało się do KSMŻ z prośbą o przyjęcie na kurs. Niestety, Stowarzyszenie nie mogło spełnić życzeń tych, przekraczałoby bowiem wtedy swoje uprawnienia.

Przygotowanie do życia rodzinnego staje się potrzebne coraz bardziej. Świadczą o tym także kursy, odbywające się za granicą; w Mediolanie, w Wiedniu, w Sztutgarcie, istnieją już specjalne szkoły, mające takie same cele, jak kurs bniński. Włochy zwłaszcza kładą silny nacisk na gruntowne, poważne przygotowanie młodych dziewcząt do czekających ich przyszłych zadań.

Kursy organizowane w Domu Młodej Polki w Bninie trwają cztery tygodnie. Odbywają się dwa razy w roku, a nawet ostatnio — trzeba było urządzić trzeci kurs, z powodu licznego napływu zgłoszeń, a ograniczonej ilości miejsc.

Młodzież chętnie skorzystałaby z kursów, rwie się do Bnina, ale często napotyka na opór ze strony rodziców, niedoceniających dostatecznie ważności przygotowania rodzinnego. Dobrze więc byłoby, gdyby matki dorosłych, względnie dorastających córek, dowiedziały się, jak wygląda program pracy na kursie w Bninie.

Program dzieli się na dwie części: jedna — teoretyczna, poświęcona jest wykładom z zakresu tych wiadomości, które potrzebne są mężatce i matce: a więc doniosłość Sakramentu małżeństwa, społeczne znaczenie rodziny — dziecko w rodzinie — kobieta i dom — pielęgnowanie chorych, pomoc w nagłych wypadkach, kwestia chorób dziedzicznych — układanie budżetu domowego — urządzanie domu — i inne. Druga część — to praktyczne przygotowanie się do zadań gospodyni: nauka gotowania, pieczenia, sprzątania, porządków domowych, prasowania, obchodzenia się z niemowlęciem, szycie bielizny dla maleństwa.

Dziewczęta więc, kończące kurs, są naprawdę przygotowane do życia rodzinnego, do spełniania obowiązków żony, matki, wychowawczyni, gospodyni.

Koszta udziału w kursie są bardzo niskie: opłata za utrzymanie i częściowe pokrycie wydatków na produkty do nauki i gotowania i wypieku wynoszą tylko zł 45.— za całomiesięczny kurs. Sama nauka, oraz mieszkanie — są zupełnie bezpłatne. Koszta zorganizowania kursu pokrywa Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej z własnych funduszów.

Zgłoszenia na kurs najbliższy, odbywający się w czasie od 16 listopada do 15 grudnia, przyjmuje Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej, Poznań, ul. Kręta 5 do dnia 1 listopada. Następny kurs trwać będzie od 1—30 marca 1939 r., termin ostatecznych zgłoszeń mija z dn. 15 lutego.

Zachęcamy serdecznie matki dorosłych córek, by wysłały je na kurs przygotowania rodzinnego do Domu Młodej Polki w Bninie. Bez względu na to, czy wyjdą one zaraz za mąż, czy za kilka lat, czy nawet zupełnie z małżeństwa rezygnują — wiadomości nabyte w Bninie przydadzą się im w życiu zawsze.

KRONIKA ŻAŁOBNA STOWARZYSZENIA

Śp. Jadwiga Kuberzanka † 7. 5. 1938. — Ostrów im. Kr. Jadwigi.

Śp. Bolesława Prusakowa † 16. 6. 1938. — Inowrocław „Jedność".

Śp. Jadwiga Ziętkowa † 21. 6. 1938. — Ostrów im. Kr. Jadwigi.

Śp. Katarzyna Drzewiecka † 1. 8. 1938. — Inowrocław „Jedność".

Śp. Petronela Kręgielska † 20. 8. 1938. — Ostrów im. Kr. Jadwigi.

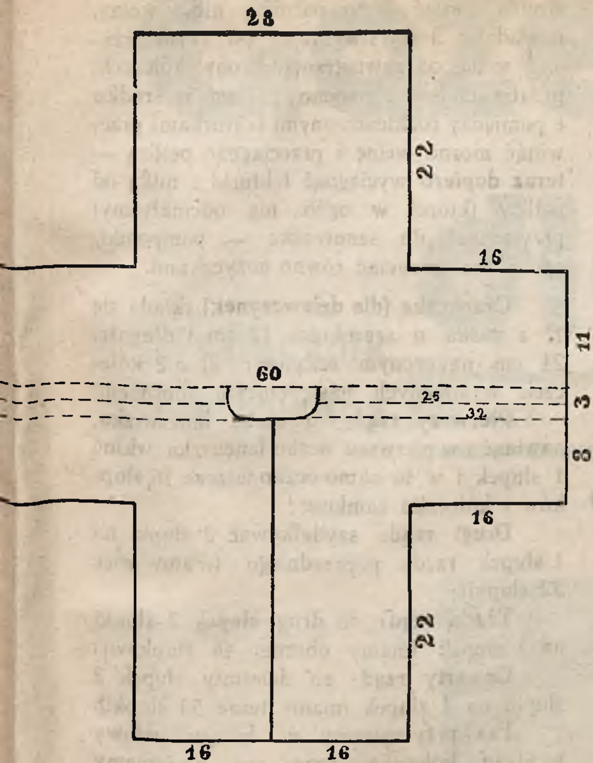
Śp. Antonina Pohlowa † 26. 8. 1938. — Murowana Goślina.

Śp. Joanna Szymczakowa † 28. 8. 1938. — Zalesie.

Śp. Zofia Woźniak † 28. 8. 1938. — Zalesie.

Śp. Józefa Szubertowa † 12. 9. 1938. — Ostrów im. Kr. Jadwigi. N. o. w. p.

Czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu, tłoczono na papierze z własnej fabryki „Malta".



Karol Gil

CYGON I FARORZ

(Godka ludowa).

Chycił cygon zająca we farorzowej kończynie. I farorz to widzioł — i mówi do cygona:

— Cygonie, ten zając je mój, bo był w moi kończynie.

A cygon mówi:

— Ten zając je mój, bo je moimi rękami chycony!

— Ja, cygonie — mówi farorz — to momy oba recht. To się nom patrzy tym zającem na poły rozdzielić.

A czygon mówi:

— Oj wielebny panie, cóż to je pół zająca! To ani dlo mnie samego, a cóż będom jeść moje dzieci i moja staro?

Farorz mówi tak:

— Miły cygonie, ty ani tego zająca ugotować nie umiesz, a jo też tam tak dalece o niego nie stojem. Tak wiesz co, pujdziesz do mnie na noc — a nasza kucharka tego zająca dobrze ugotuje i do tromby schowo aż do rana, a rano gdo z nas dwóch będzie mioł piękniejszy sen, ten dostanie tego dobrze ugotowanego zająca.

— No dobrze, dobrze, — mówi cygon.

I przyszli do fary i kucharka poczyna gotować zająca.

I cygon chcioł ukozać farorzowi swom pokorę — ale fałszywom — bo mówi do farorza:

— Wielebny panie! jo już bedem tu na ganku społ, boch jo je nauczony na twardem spać!

Ale cygon dlatego chcioł na ganku spać, bo mu tam ten zając bardzo wonioł z kuchynie.

I tak się rozeszli.

Ale cygon ani spać nimóg, co mu zając wonioł. I wachowoł po kryjomu kucharki, co zrobi z tym zającem.

Tak gdy przyszło, że i kucharka się na spani udała, tak i cygon nie staroł, czy się mu pieknie śni, czy ni, jeny sie staroł, jakoby też jeszcze roz tego zająca dopaść. I chocioż było ćma jak w miechu — cygon jak kocur: po ćmi dopod, po ćmi zjod — a potem sie położył i społ.

I przyszło rano. Wielebny kozoł cygona zegnać. Zegnali go i posłali ku farorzowi.

— No cygonie, jakoś sie wyspoł?

— Oj! wielebny panie, dziękujem bardzo dobrze, jeny tego było mało!

— No, no, — mówi farorz, — tak powiedz cygonie, co ci sie pieknego śniło?

— Oj wielebny panie, mie sie bardzo pieknie śniło; jako zaś też Onym?

Wielebny pon mówi:

— Mie ci sie cygonie bardzo pieknie śniło, jeny mów ty przód, cygonie!

— Jo — wielebny panie — joch je ostatni. Oni, wielebny panie, jako duchowno osoba, to sie Im pierwszeństwo noleży.

Wielebny mówi:

— Mie sie śniło, że była drabina ze ziemie aż do nieba — a po ni sami aniołowie; a że mie ci anieli bedom brać do nieba.

Cygon sie po teraz trząs, jakoby ocyganić, ale se hnet poradził. Jak słyszoł ten sen od wielebnego, mówi:

— Ja, ja, wielebny panie, to je prowda, co Oni mówiom. Bo dyż jo Ich widzioł, jak Ich ci aniołowie do nieba po tej drabinie nieśli. I jo był tak rod, że już tam zostanom i takech sie śmioł, ażech sie obudził. I myślołech se, że Oni już tamstela nie przydom, i jo wzión zająca i zjod...

* * *

Panu farorzowi też nie szło o zająca: on jeny chcioł sprubować, jaki też je ten cygon chytry.

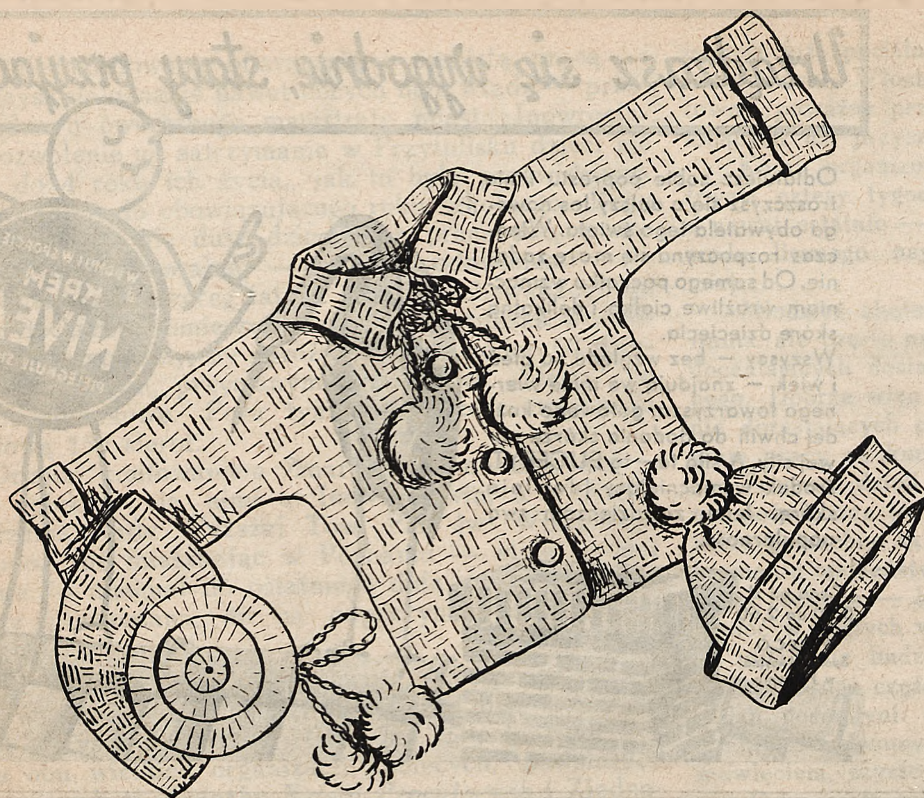
Tóż pocapkoł cygona po ramieniu, doł mu jeszcze coś na poczęsnom — i puścił go.

Cygon podziękowoł, oblizoł sie i poszeł.

. . . .

I śmioli sie oba.

Umieszczone w niniejszym numerze poświęconym Śląskowi za Olzą obrazek tytułowy, wiersz Jadwigi Miśniakowskiej, opowiadanie „Cygon i farorz" oraz pieśń „Zaszumiały Góry" — wyjęte zostały z miesięcznika „Zaranie Śląskie a obrazki na str. 134, 136 i 137 z książki G. Morcinka „Śląsk".



Garniturek niemowlęcy szydełkowany

potrzeba 200 g (20 dk) wełny lekkiej, puszystej i szydełko nr 2½

Kabatek

Rozpoczynając od pleców zrobić **luźno** 28 cm łańcuszka (można i więcej, gdyż przez wkłuwanie słupków się tenże ściąga) i nauczonym ściegiem uszydełkować tkaniny 22 cm wzwyż po czym dorobić 16 cm łańcuszka z każdej strony na długość rękawków i na szerokość obecnie już 60 cm doszydełkować jeszcze 11 cm tkaniny wzwyż tymże samym nauczonym ściegiem. Mając razem 33 cm wysokości tkaniny nie szydełkujemy już przez całą szerokość tejże, tylko dzielimy ją na 2 części, aby uzyskać przecięcie z przodu do zapinania. Mając pracę podzieloną na 2 części szydełkujemy w każdej z tych części 3 cm wzwyż na szerokości tylko 25 cm (mamy tej szerokości co prawda 30 cm, gdyż całość mierzyła 60 cm, ale w środku pozostawiamy 2 × 5 = 10 cm na wykrój szyjki) i teraz po dorobieniu tych 3 cm wzwyż, doszydełkowujemy w każdej części od środka 7 cm łańcuszka pod dalszą tkaninę, czyli, że mając teraz już na każdą z przednich części 32 cm szerokości, doszydełkowujemy do końca rękawków jeszcze 8 cm wzwyż (gdyż licząc od rozpoczęcia tychże muszą one mieć 22 cm obwodu) i po uzyskaniu tej miary szydełkujemy już obie przednie części, mierzące każda 16 cm szerokości i to taksamo jak plecy 22 cm wzwyż. Dla orientacji podaję rysunek z podanymi miarami na str. 143.

Dookoła wykroju szyjki uszydełkować nauczonym ściegiem tkaniny o wysokości 8 cm, co utworzy kołnierzyk.

Teraz zszywamy po bokach przody z plecami, również i rękawki, z których wywracamy 3 cm na wierzch i obszydełkowujemy je pikocikami, również kołnierzyk, przody i cały kabatek dookoła. Pod kołnierzykiem wciągamy sznurek, zakończony pomponikami do związywania kabatka. Sposób wykonania: Z podwójnej wełny zrobić grubym szydełkiem łańcuszek długości 80 cm, przeciągamy go dookoła szyjki i na końcach przyczepiamy pomponiki, wykonane w następujący sposób: Wyciąć z tektury 2 kółeczka o 5 cm przekroju z otworem (dziurą) w środku, złożyć je razem i od środka owijać gęsto potrójną nitką wełny, nakładając 3 warstwy tejże, po czym przeciąć wełnę od zewnętrznej strony kółeczek, przytrzymując je mocno palcem w środku i pomiędzy rozkleszczonymi tekturkami przewinąć mocno wełnę i przeciągnąć pętlicą — **teraz dopiero** wyciągnąć tekturki i nitką od pętlicy (której w ogóle nie odcinałyśmy) przyszywać do sznureczka — pomponiki, ogolić tzn. przyciąć równo nożyczkami.

Czapeczka (dla dziewczynek) składa się 1) z paska o szerokości 12 cm i długości 24 cm nauczonym ściegiem; 2) z 2 kółeczek wykonanych następującym sposobem:

Pierwszy rząd: 3 oczka łańczuszka, nawinąć i w pierwsze oczko łańcuszka wkłuć 1 słupek i w to samo oczko jeszcze 16 słupków i kółeczko zamknąć;

Drugi rząd: szydełkować 2 słupki na 1 słupek rzędu poprzedniego (mamy więc 32 słupki);

Trzeci rząd: co drugi słupek 2 słupki na 1 słupek (mamy obecnie 48 słupków):

Czwarty rząd: co dziesiąty słupek 2 słupki na 1 słupek (mamy teraz 53 słupki).

Pas przyszywamy do brzegu połowy każdego kółeczka przez co otrzymamy fason czapeczki i brzeg całej czapeczki obrabiamy pikocikami. Do związywania wciągamy tak samo jak przy kabatku sznureczek, zakończony pomponikami.

Czapeczka (dla chłopców).

Uszydełkować kółeczko jak do czapeczki dziewczęcej — lecz trochę większe — mniejwięcej 5 rzędów wysokich słupków, tak samo dobierając jak podałam — i nauczonym ściegiem robić prosty woreczek pożądanej długości, doliczając 4 cm na wywrócony brzeg, który obszydełkowujemy również pikocikami. Górą na środku czapeczki przyczepiamy pompon większy, zrobiony na tekturkach o przekroju 10 cm.

Jak się robi pikociki?

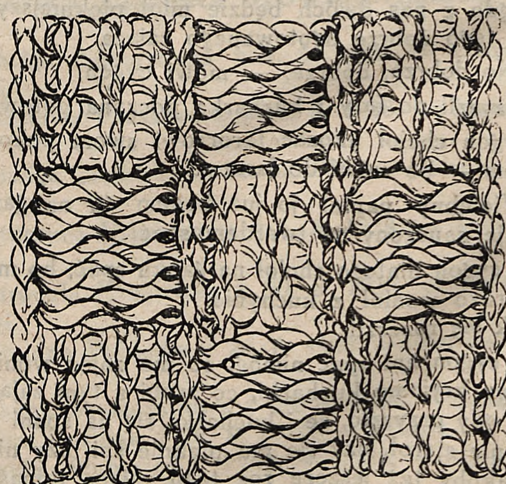
Obszydełkowując tkaninę jako wykończenie małymi słupkami zrobić co trzy półsłupki 3 oczka w powietrzu, wkłuwając szydełko w pierwsze oczko łańczuszka i nitkę bez przerobienia przeciągnąć.

Nauka ściegu:

Zrobić łańcuszka mniejwięcej 20 cm.

1 rząd — same wysokie słupki tzn. 1× nawijane wkłuwać w każde oczko łańcuszka.

Następne rzędy: 3 wysokie słupki zahaczając o słupki poprzedniego rzędu z wierzchu i na zmianę 3 wysokie słupki zahaczając o słupki poprzedniego rzędu z tyłu.



Abonament roczny jednego egzemplarza wraz z przesyłką pocztową 2.00 zł. Telefon nr 2807

Abonament wspólny: pod opaską wyżej 10 egz. wynosi rocznie od 1 egz. 1.80 zł. Konto P. K. O. 206 255

Wydawca: Katolicki Związek Kobiet w Poznaniu. Za redakcję: Zofia Sicińska. Adres redakcji: Gazeta dla Kobiet, Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22
Czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu, tłoczono: na papierze z własnej fabryki „Malta".